



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1256 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

Z NOWEJ WIOSNY

(Heine'go).

Marząca wodna lilia wiotka,
Gdy spojrzy w niebo zponad fali,
Z księżycą wzrokiem tam się spotka,
Co jej na miłość swą się żali.

Więc zawstydzona główkę skłoni,
Pod falę znowu skryć się rada;
Lecz ściga ją, i w głębi toni,
Kochanka twarz, stroskana, blada.

Adam Plug.

SASIĘDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Miał się Podkomorzy rozpytywać więcej o tę ciekawą sprawę, gdy nadjechał ktoś i przerwał rozmowę. Książę ex-definito siadł na sanki i ruszył dalej.

Podkomorzy miał tyle rzeczy na głowie, że, na moście Podstarościęgo brzeskiego chwyciwszy, strawił z nim jeszcze pół godziny na tergiwersacyach sejmikowych. Siadł potem i pojechał dalej. W drodze mu z głowy nie mogło wyjść: jakim sposobem z tej srogiej wojny przyszło do małżeństwa?

Szczegółów nie wiedział żadnych, był najpewniejszym jednak, że Strukezaszyc na małżeństwo zezwolił, że był z niego szczęśliwym i że wypadało mu tak znamienitego sukcesu powinszować.

Nazajutrz, w sejmikowej wędrowce po Kobryńskim powiecie, znalazł się Podkomorzy niedaleko Sierhina.

— Wstąpię do Strukezaszyca—rzekł sobie w duchu—to mu się należy,

Kazał woźnicy nawrócić do dworu.

Hojski, choć z Podkomorzym był niezgorzej, nie lubił go jako jawnego przyjaciela i konfidenta Czerneryńskich. Poznawszy przybywającego, poszedł wdziać nową kapotę, pogładził włosy i wysunął się na spotkanie.

— Kochanego Strukezaszyca, pana mojego i dobrodzieja! — zawołał Podkomorzy ściskając go. — Będąc w okolicy, miałem to sobie za święty obowiązek nawiedzić progi wasze. Weszli byli właśnie do pokoju, w którym i panna Blandyna w białym czepcu ogromnym, z pończochą, siedziała.

Grzeczny Podkomorzy zbliżył się dla powitania jej, to mu rozpoczętą mowę przerwało.

Natychmiast jednak z rękami rozpostartymi zbliżył się ku stojącemu zimno i poważnie, z zaciętymi ustami, Strukezaszycowi.

— Niechże ci powinszuję! — zawołał.

— Czego! — odparł chłodno gospodarz — mnie, czego?

— Jakto? — czego? Właśnie na drodze od księdza Ambrożego się dowiedziałem. Uradowałem się niewymownie, dla was obu! To ślicznie! to cudownie!

Rzucił się w objęcia Hojskiego, który nieco zdumiony, trochę zmieszany i zniecierpliwiony, począł

coraz głośniejsze powtarzać.

— Ależ czegoż mi pan Podkomorzy wieszysz? czego? czego? ja o niczem nie wiem?

Buchowiecki stanął, oglądając się dokoła z roz-targnieniem.

— A no! przecież ożenienia syna!

— Co takiego! — krzyknął gwałtownie Strukezaszyc—co? co?

Podkomorzy po głosie dopiero poznał i domyślił się, że—coś w tem było zagadkowego, i że baka strasznego wystrzelić musiał. Jako człowiek zręczny, patrzył tylko któredy i jak się wyczołfać.

— Cóż to jest? — zawołał — miałaby to być bajka?

Strukezaszyc oczy w niego wlepił, jakby go chciał pożreć.

— Od ks. Ambrożego pan słyszałeś? co? jak? mój syn! Mów pan! Żarty czy mistyfikacya? — wołał Strukezaszyc.

Oczy p. Blandyny padły na mówiącego, błagające, przelektę, tak, że Podkomorzy struchlał. Sam nie wiedział co mówić.

— Ale na miłość Boga, ciągnął Hojski głosem przerywanym — jeśli mi pan co dobrego życzysz, mów—coż to jest znowu!

Podkomorzy począł się śmiać, nadrabiając miną.

— No, nie, nie — rzekł — zażartować chciałem i nastraszyć! Nie gniewaj-że się, kochany przyjacielu. Mówiono mi, żeś syna posłał do Wilna; chciałem ci napędzić Piotra.

To mówiąc, ścisnąć chciał Hojskiego, który nie przyjmował uścisku, — drżał z rozdrażnienia.

— Piękny żart! — przebaknął. — W istocie napędziłeś mi pan nie strachu, ale gniewu. Do naszej młodzieży terazniejszej wszystko to podobne, nawet ożenienie się z pomywaczką bez rodzicielskiego błogosławieństwa! Ale gdyby mi syn choć księżniczkę samowolnie zaślubił—ani-bym go na oczy puścił! Nie znałeś mnie—nie znam cię! Chciałeś mieć wolę — ruszaj z Bogiem!

Głos się trząsł Strukezaszycowi.

— Ale dokąd-że?—spytała p. Blandyna.
— Albo ja wiem? w świat — odparł Hojski, chodząc po izbie.—Jadę do aktu, asindzka masz dozwócić na Sierhinie. Syna wydziedziczam; zapiszę po najdłuższem życiu asindzki na szpitalu, na ubogich, na klasztoru. Nie pożywią się Czemyryńscy ani złamanym szelągami po mnie.

Z krzykiem przybiegła p. Blandyna, do nóg padając bratu.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KORRESPONDENECJA ZAGRANICZNA.

Lwów w Maju.

Z pieśnią skowronka i słowika, która ozwała się już po niwach pól naszych, umilka chaotyczna, symfonia życia miejskiego. Na sztuczne kwiaty już niepora, odkąd pod wiosennym błękitem zaparła się pierwsza łza rosy majowej; na biesiady umysłu w dziedzinie sztuki, a może nawet literatury, czas minął, odkąd oko i wyobraźnia skapać się mogą w źródle tych wrażeń, które z pierwszego wiosennego oddechu natury przywiewają ku piersi ludzkiej. Proszę nie dziwić się idyllicznemu usposobieniu autora słów tych, bo czyż jest w tem co nienaturalnego, że sprawozdawca miejskiej prozy, chociaż raz jeden, w Maju, zapagnie złożyć pocałunek miłostnego hołdu na świeżem, czerstwym łonie natury? Kto ma ciągle do czynienia ze sztuką życia, z człowiekiem i jego pracą, ten dziwną, instynktową igrzę sympatją ku temu, co wyobraża najczystsza prawda w świecie, co nie ludzi i nie zna samo złudzeń, — słowem, co jest — naturą...

Spójrzmy przecie na ostatnie miesiące dogorywającego już obecnie sezonu miejskiego i przesunmy przed wyobraźnią raz jeszcze ten, niezbyt bogaty, ale znowu i nie tak nazbyt ubogi, szereg wrażeń umysłowych, jakieśmy poczerpnęli w ostatnich czasach — zwłaszcza na polu sztuki.

Jeżeli Warszawa — zapewne nie z krzywdą dla siebie — nie miała w tym roku włoskiej opery, to myśmy ją *prawie* mieli; jeżeli bowiem godzi się nazwać włoską operą taki skład osób, w którym pierwszy tenor i chóry śpiewają po polsku, a reszta osób po włosku, to w takim razie i my mieliśmy modną tak dziś w Europie *stagione*. — i to pod warunkami nienajgorszymi, bo w gronie artystycznym, które złożyło się na tę zaimprovizowaną włoszczyznę, znajdowało się kilka gwiazd europejskiego horyzontu muzycznego. Z sił miejscowych i goszczących złożyło się wcale interesujące grono Włochów; jako primadonny, panie: Desirée Artôt, Marya Mantilla, Gabbi i Marco, barytonista Padilla, basisci: Władysław Miller i Saccardi. Partye tenorowe śpiewał, jak zawsze, po polsku, nasz Zakrzewski, a chóry i partye drugorzędne wtórowały mu także mową ojczystą. Płynęły więc ku nam strugi najczystszej melodii włoskiej, ale zarazem i rysowały się przed oczyma kontury legendowej wieży Babel. Kto umiał wznieść się ponad rzecz tak znikomą, jak logika, i pogodził się z tym, w każdym razie dosyć rażącym rozłamem jednego dzieła sztuki na dwie odrębne indywidualności językowe, ten zdobył sobie dużo pięknych i harmonijnych wrażeń.

Pani Desirée Artôt przez pasmo lat kilku, przez które nie słyszeliśmy jej we Lwowie, utraciła to, co jest właściwym klejnotem każdej śpiewaczki: dźwięk głosu. Jest on jeszcze równie, jak dawniej, silny, władza temi samymi kolosalnymi środkami dramatycznej *expressy*, olbrzymiej skali i mistrzowskiej metody; ale to, co stanowi poezję śpiewu, jego bujny, gorący koloryt, jego miękka, pełna ducha i wyrazu malowniczość, jego słowiczą pełność: to wszystko znikło już bezpowrotnie. Śpiew pani Artôt jest dzisiaj suchym, bezbarwnym i chłodnym; imponuje on zawsze, jak każda ruina wielkiej chwały, ale nie grzeje, nie pociąga idealnym swym wpływem ku sobie. Padilla, znany piękny małżonek p. Artôt, śpiewa, jak zawsze, z elegancją, z wytwornym recitativem, z gustowną i pełną miary subtelnością w frazowaniu. Zarówno fraze

muzykalną, jak moment dramatyczny umie zawsze pojąć szlachetnie i wykwintnie.

Pan Władysław Miller należy niewątpliwie do najznakomitszych współczesnych śpiewaków. Jest to nasz ziomek, znany niegdyś i w Warszawie, a obecnie występujący na pierwszych scenach zagranicznych, przeważnie we Włoszech, Hiszpanii i w Ameryce; jest on ojczymem cenionej śpiewaczki naszej, pani Wandy Miller-Czechowskiej. Niejednokrotnie dochodziły nas wieści z zagranicy o powodzeniach naszego ziomeka; ale największe pochwały, oddawane mu przez obcych znawców, nie dały nam jeszcze właściwej miary do należytego osądzenia tego śpiewaka. Pan Miller przybył do Lwowa nie w celu ściśle artystycznym, jakkolwiek i zaśpiewanie rodakom po tylu latach wędrówki na obczyźnie musiało się uśmiechać naszemu artyście. Przybył on tu jednak w innym celu: pragnął zaczerpnąć powietrza swojskiego, posłyszeć mowę rodzinną i pokazać synowi swemu kraj ojczysty. To też miasto nasze powitało pana Millera z niekłamaniem oznakami szczerzej sympatii, przedewszystkiem jako tułaczego ziomeka. Ale pan Miller zasłużył nie tylko na tego rodzaju sympatię; jako śpiewak i artysta dramatyczny zjednał on sobie rychło uznanie prawdziwie zaszczytne. Władca on potężnym głosem bas-baryton, który nie stracił jeszcze świeżości tonu, a władca nim z potężną brawurą w najszlachetniejszym stylu. Każdej roli swojej umie nadać bohaterski zakrój, zarówno śpiewem, jak grą podniosłymi rysami narkreślona, głęboko poczuła i troskliwie obmyślana. Na tle dzisiejszych stosunków opery włoskiej, której nie chodzi o prawdę dramatyczną, o wyraz charakteru, o jednolitość postaci, której wystarcza trochę ciepłej melodyjności i wzorowy *bel canto*, p. Miller powinienby jeszcze potężniejsze, bo wręcz przeciwstające się sprawie wrażeń. Miasto nasze słyszało już nieraz dobrych, cenionych w kraju i za granicą basistów, ale pan Miller pokrył ich bez trudu świetnym kolorytem swego śpiewu i swej siły dramatycznej, tak, iż nie będzie przesady, jeżeli powiem, że na scenie lwowskiej pierwszy raz widziałem takiego kardynała Brogni w „Żydówce“, takiego Marcela w „Hugenotach“, Sylwę w „Ernanim“. Orowista w „Normie“ i t. p. Ognisty temperament artysty wlewa w każdą jego kreację tyle życia i namiętności, że postacie przezeń tworzone nabierają temsamem uderzającej plastyki życiowej, która wydobywa je na pierwszy plan i elektryzujące sprawia wrażenie. Pan Miller powrócił obecnie do Włoch, ale, wzruszony przyjęciem serdecznym, jakiego tu doznał, przyrzekł odwiedzić nas znowu w roku przyszłym, jeżeli mu obowiązkowe zajęcia pozwolą. Dlaczego opera warszawska skazuje się od tak długiego czasu wyłącznie na „kształcenie“ sił młodych, początkujących, a nie pomyśli o tem, aby tym siłom młodym przedstawić od czasu do czasu, jako wzór do kształcenia się, artystów większej miary, już skończonych i zupełnych, jak naprzykład p. Miller, a zwłaszcza, gdy ci artyści są rodakami? Takie studia na żywych przykładach mogłyby bezpośrednio oddziaływać skutecznie, aniżeli godziny prób, choćby pod najlepszym dyrektorem odbywanych.

Obecnie zamilkła już opera lwowska, a drużyna śpiewaków naszych, przeważnie z Włochów złożona, opuściła już miasto, podążając na południe. Przez trzy miesiące nie będziemy mieli opery; to jest faktem, który nie byłby dla nas tak przykrym, gdyby nie podawano wogóle w wątpliwość dalszego bytu opery we Lwowie. Pan Dobrzański, dyrektor teatru naszego, grozi wszem wobec i każdemu z osobna, że nie może już nadal łożyć z własnej kieszeni na rzecz tak kosztowną, jak opera, bez podwyższenia subwencji krajowej, która dotąd wogóle wynosi dopiero 20,000 złr., kwotę zbyt znikomą zaiste, aby mogła wystarczyć na dobrą operę, zwłaszcza w dzisiejszych, materyalnie tak podupadłych, stosunkach, gdy coraz mniej widzów uczęszcza do teatru. Obecny sezon był najgorszym ze złych — tak u nas jak wszędzie zresztą w Europie. Cztery nowości, jakie opera nasza w tym roku wystawiła: „Duch wojewody“ Grosmana, „Don Karlos“ Verdiego, „Wilhelm Tell“ Rossiniego i „Don Desiderio“ ks. Poniatowskiego, nie pokryły ani w przybliżeniu kosztów, jakie wyłożono na ich wystawę; pani Artôt śpiewała parę razy przed zupełnie pu-

stym teatrem, co w części przypisać należy podniesionym cenom widowisk. Wobec tego faktu niepodobna wymagać od pana Dobrzańskiego dalszych osobistych ofiar, i jeżeli sejm krajowy, którego zebrania się oczekujemy w Sierpniu, nie zdoła wynaleźć w swoim budżecie większych źródeł na subwencję dla opery polskiej we Lwowie, to doprawdy będziemy musieli z prawdziwym żalem pogrzać tę instytucję, która nam tyle dostarczyła przyjemnych wrażeń i z którą tyle wiązaliśmy nadziei dla rozkwitu muzyki ojczystej.

Dramat nasz w ostatnich miesiącach wprowadził na scenę kilka oryginalnych nowości skutkiem konkursu imienia Fredry. Musimy uczynić tu zarzut dyrekcji, że, spuszczać się na plon, spodziewany z konkursu, nie dołożyła w tym sezonie żadnej pracy ani żadnych kosztów na uzbieranie tych nowości, jakie w ostatnich dwóch lub trzech latach pojawiły się w ojczystej literaturze scenicznej. Prócz drugiej seryi Fredrowskiej, która przyszła dyrekcji „bez pracy“, prócz trzech komedii konkursowych, które przyszły także „bez pracy“, nie widzieliśmy w obecnym sezonie nic więcej, oprócz jednoaktowej komedii Blizińskiego: „Mąż od biedy“, Sewera: „Pojedyunku szlacheckich“ i dramatu Leopolda hr. Starzeńskiego: „Krwawe znamię“. Dlaczego dyrekcya prócz „Nietoperzy“ nie poznała nas dotąd z żadnym z utworów Lubowskiego, którego „Przesady“ (choćby tylko one!) byłyby ozdobą każdego repertoaru z wyższym smakiem i wyższą tendencją umysłową układanego; dlaczego nie widzieliśmy dotąd ani jednego z dramatów Rapackiego — czyż wolno wykreślać go z rzędu autorów dla jakichś tam błahych, osobistych dąsów? dlaczego nie znamy ostatnich sztuk Sarnieckiego, Anczyca, Bełcikowskiego, Mellerowej i t. p.? Utrzymywanie repertoaru na wyżynie współczesnej produkcji literackiej uważalibyśmy za istotną zasługę dyrekcji, zasługę *wypracowaną*. Ograniczyć się na tem, co Bóg da, to nie wystarcza na tytuł do uznania, choćby w tych darach z nieba znalazły się, tak lśniące wszystkimi barwami talentu meteory, jak ów przesłiczny „Mąż od biedy“ Blizińskiego, który w szczupłych ramach jednego aktu pomieścił więcej prawdy życiowej, więcej siły plastycznego obrazowania, więcej ciepła i duszy w poglądzie na świat Boży, więcej zdrowych myśli i szczerzej poezji, aniżeli — kto wie? czy nie wszystko inne, co na tem polu od czasów Fredry napisano. Słowa nie cofam, i wiem, że gdy to arcydzieło doczeka się takiego przedstawienia na scenie warszawskiej, które potrafi dotrzeć do rdzenia jego wartości, to słowa tego wobec nikogo nie będę potrzebował cofać.

Ostatnie chwile sezonu dramatycznego ożywiły się znacznie przez przyjazd do nas panny Derynżanki, która w dziewięciu najświetniejszych swych rolach wystąpiła gościnnie na scenie lwowskiej. „Romeo i Julia“, „Intryga i miłość“, „Sylwia“, „Nie igra się z miłością“, „Debora“, „Słuby panienskie“ (Klara), „Stryj Sam“, „W Alpach“ i „Przed ślubem“, okazały nam warszawską artystkę w pełni dzisiejszego rozwoju jej niepospolitego talentu, który wśród przyjaznych warunków sceny naszej nabrał dojrzalej wytrawności i nieomyłnej rutyny; te przymioty, powiązane w harmonijną całość z wrodzoną potęgą jej dramatycznej twórczości, z olbrzymią inicjatywą artystyczną, z zasobem siły i poetycznego namaszczenia — dały scenie ojczystej artystkę wielkiej miary, której imię obok Modrzejewskiej zapisze się trwałymi głoskami na kartach sztuki polskiej. Zapał, z jakim pannę Derynżankę przyjmowano we Lwowie, dał się w zupełności usprawiedliwić potężnie piękną jej grą, rosnącą naprzykład w „Sylwii“ do rozmiarów, których pozazdrościć-by jej mogły mistrzyni teatrów europejskich. To też słaliśmy hojnie do nóg ulubionej artystki bukiety i wieńce laurowe, a wieczór pożegnalny w sali Kasyna Miejskiego, na którym wygłosiła uroczysty „Marsz pogrzebowy“ Ujejskiego (z akompaniamentem Szopenowskiej muzyki), tudzież „Niebezpieczną“ tegoż samego poety, należał do najserdeczniejszych chwil pożegnania, jakie miewają artyści.

Przechodząc z dziedziny sztuki na pole pracy materyalnej, winniem zdać sprawę z obecnego stanu tutejszego stowarzyszenia pracy kobiet, które niedawno odbyło swe doroczne posiedzenie i przy-

jęło z ust wydziału sprawozdanie o działalności warsztatów towarzystwa w r. 1877.

Niestety, owoce usiłowań gorliwych i umiejętnie kierowanych nie okazały się zbyt pocieszającymi. Nie wynika ztąd, aby Towarzystwo chyliło się do upadku; w każdym razie przebywa ono obecnie jedno z krytyczniejszych przesileń swego bytu, z którego niebezpieczeństw wydobyć je może tylko wytrwała, niezrażająca się praca zarządu i większa gorliwość ogółu stowarzyszonych. Przedewszystkiem Towarzystwo liczy za mało członków; należałoby koniecznym nowym energicznym starań dołożyć ku rozszerzeniu koła bezpośrednich uczestników podjętego dzieła, skoro pokazało się, że żywioły składające obecnie Towarzystwo nie posiadają dosyć szerokiego wpływu na zapewnienie warsztatów jego—pracy i zarobku. I w tym roku zarząd poczynił wiele pożytecznych ulepszeń w łonie swoich zakładów, odpowiadających lepiej i wymaganiom publiczności i szczupłym zasobom funduszowym. Dokonano mianowicie pożądanego rozdziału szkół i pracowni, usiłując, o ile możliwości, urządzić każdy z tych działów samodzielnym, na następujących warunkach: w pierwszym roku stowarzyszenie, mając jedynie na względzie rozwój pracowni i dobrobyt robotnic, nietylko zrzeka się wszelkich dochodów, ale nadto dodaje pracownikom lokal, światło, opał i usługę, kierownikom pracowni zapewnia połowę tylko dotychczas pobieranej stałej pensji, druga zaś połowa uzupełnia się z dochodów brutto pracowni; po odciążeniu stałej pensji kierowniczką, opłaty maszynistek i % przynależnego pracownikom, pozostały zysk rozdziela się na dwie części: połowa przypada kierownicze pracowni i pomocnicy, połowa zaś rozdziela się między pracownice. Przez takie urządzenia zamierzono zachęcić kierowniczkę i pracownice do gorliwszej pracy, a łącząc własny ich interes z interesami pracowni, zapewnić wzrost każdego poszczególnego działu. Po mimo wszelkich usiłowań reorganizacyjnych udział publiczności w korzystaniu z pracy dostarczanej przez warsztaty, prowadzone wzorowo, według ogólnego uznania, którego najbardziej wyrazem był dyplom honorowy, udzielony wyrobom stowarzyszenia na tegorocznej wystawie rolniczo-przemysłowej, — udział ten, mówię, był tak małym, że z d. 17 Kwietnia r. b. zarząd czuł się zmuszonym do bolesnego dlań kroku: do zamknięcia pracowni krawieckiej.

Bilans pozostałych pracowni okazuje następujące cyfry: W pracowni i szkole szycia białego zajętych było w r. 1877 robotnic 63, dni pracy 5,073. Wykonano 290 zamówień; rozchód (na pensje kierowniczką, pomocnicę, 3 maszynistek i 15 haftarek, pracownikom za robotę, na zakupno materiału) wyniósł 4,155 złr., dochód zaś 4,057 złr., czyli niedobór tego oddziału, wyniósł około 100 złr., które wyrównać musiała kassa Towarzystwa. Usprawiedliwia taki wynik rzeczy w pracowni, która przedstawia ruch dosyć znaczny, ta okoliczność, że stowarzyszenie mające na celu podniesienie zarobku kobiety, nie chce i nie może wyzyskiwać swoich pracowni, lecz płaci im sumiennie za robotę na sztukę, a mały tylko procent odtrąca na pokrycie kosztów za dodany materiał, tudzież na pensje kierowniczką i maszynistek, płatnych miesięcznie; dlatego też dopóki pracownice stowarzyszenia nie są tak zaopatrywane w robotę, aby stałe zajmowały znaczną ilość robotnic, dopóty dochód nie może pokrywać rozchodu. Dodać także należy, iż w początku roku bieżącego dokonano już pożądanego rozdziału szkoły i pracowni; ostatnią kieruje pani Szczurowska, pierwszą — bardzo uzdolniona nauczycielka, panna Marya Zonczak, uczennica rządowej szkoły haftów w Wiedniu; w szkole tej udzielaną bywa również nauka cerowania, dzierzgania, początków haftu i wyrobu ręcznych frenzli. W dziale krawieckim zawiaduje szkołą pani Pałowska; pracownię, jak wspominałem, zamknięto przed kilku tygodniami. Zajmowała ona w ostatnich czasach tylko 12 robotnic, które wykonały w 2,213 dniach 237 zamówień; rozchody wynosiły tu 3,758 złr., przychody 3,406, niedobór 251 złr. Do szkoły krawieckiej uczęszczało 36 uczennic, przyniosła ona Towarzystwu małą nadwyżkę w dochodach. W dziale robót pończoszkowych pobierało naukę 11 uczennic, które wykonały 620 mniejszych i większych przedmiotów. Przychód wynosi

tu 948 złr., rozchód 670 złr. Czysty zysk wynosi przeto 278 złr. Kassa zaliczkowa stowarzyszenia i biuro wywiadowcze przedstawiają w tym roku ruch bardzo słaby; z biblioteki również niewiele korzystano; prawie wyłącznie czytającymi byli dzieci, podczas kiedy tu właściwie chodziłoby o moralne kształcenie i wyposażanie dobrami zasadami — starszych pracowni.

Szkoła handlowa dla kobiet została w tym roku wzbogaconą nowymi wykładami. Dyrekcję szkoły i naukę buchalterii objął p. Eugeniusz Wędrichowski, dający wszelką rękojmię należytego kierunku; zapisało się na kurs ośmiomiesięczny 18 uczennic. Rada szkolna powinna rozciągnąć troskliwszą opiekę nad tą szkołą, skoro niema w mieście drugiej, z funduszu kraju lub zarządu utrzymywanej. Istnieje wreszcie przy zakładach stowarzyszenia szkółka powtarzająca, założona na pobudkę jednej z najszlachetniejszych i najzasłużeńszych przewodniczek naukowego życia kobiet w naszym mieście, pani Stefani Wechslerowej — szkółka powtarzająca dla uczennic wszystkich działów, która składa się z dwóch kursów i w tym roku liczyła 40 uczennic.

Tak się przedstawia bilans tegoroczny Stowarzyszenia Pracy Kobiet. Wierzmy silnie, że przyczyna słabego a raczej słabnącego rozwoju tegoż spoczywa nie w braku pieczy ze strony zarządu, ale w okolicznościach zewnętrznych, w apatii ogółu. Tem silniejszym głosem wołać należy, aby osoby, stojące dziś na czele towarzystwa, nie zniechęcały się, ale i owszem w złym stanie rzeczy znajdowały tem dzielniejszym bodźcem do pracy około utrzymania i rozwoju jedynej w mieście naszym instytucji, przeznaczonej ku umoralnieniu i materalnemu ubezpieczeniu kobiecego bytu.

Komitet jubileuszu Kraszewskiego powierzył wykonanie medalu ostatecznie panu Ludwikowi Malinowskiemu, medalierowi w Monachium. Pierwotnie wahał się wybór pomiędzy Francuzami, Barré'm i Tassetem, ale okazy prac ziomka naszego, przezeń nadesłane, przekonały komitet, iż zaszczytną tę pracę można powierzyć p. Malinowskiemu bez obawy, zwłaszcza, iż artysta polski, pragnąc przychylnie się swemu cęgielką do dzieła czei powszechnej dla znamienitego pisarza, podjął się wykonania medalu po cenie o wiele niższej od obu medalierów paryżkich, którzy tego uczuciowego względu nie mieli i mieć nie mogli. Tutejsza czytelnia akademicka zamierzyła również uczcić Kraszewskiego i wydaje album prac swoich, zbierając materiały do niego zewsząd, gdzie kształci się i pobiera nauki młodzież polska. Ma to być rozmiarami okazała księga; prospekt zapowiada pięćdziesiąt arkuszy druku. Te rozmiary trochę nas niepokoją o literacką wartość rzeczy, które tam wejść mają. Nie wątpliwy, że komitet redakcyjny przy wyborze artykułów, mających się złożyć na „Album Kraszewskiego“ nie zechce oprzeć się wyłącznie na własnym zdaniu, ale powierzy przejrzanie rękopismów znawcom właściwszym, np. gronu profesorów wszechnicy lwowskiej.

Zdziedziny literackiej ostatnie miesiące nie przyniosły nic ważniejszego. Parę tylko przekładów zjawiało się na półkach księgarzy; między niemi: „Dzieje ostatnich czasów“ Hagena, w dwóch sporych tomach wyszły już zupełnie i Księgarnia Polska, która je wydała, zaczyna obecnie myśleć w dalszym ciągu swej: „Biblioteki historycznej“, o „Historji Polski“ Roeppla i „Historji odkryć geograficznych“ Peschla, które oddawna zapowiedziała. Jej nakładem także wyszła w tych dniach dwutomowa powieść Juliana Verne: „Hektor Servadac“ dzieło uwieńczone przez Akademię paryżką, najwiewsza praca tego oryginalnego pisarza. Jest to tym razem wycieczka w światy słoneczne, na planetę Gallię, która dostarcza autorowi wątku do wielu zajmujących opowiadań z dziedziny astronomii, a humoryście, do mnóstwa ucieśnych pomysłów, płaczących się około bohatera wyprawy, Hektora Servadaca i jego ordynansa, Ben Zufa. Gubrynowicz i Schmidt wydali przedśliczną powieść Zofii Maryi Schwarz: „Pan z rodu i kobieta z gminu“ (3 tomy), w której wychłostane są ostrym biczem przesady rodowe. Powieści tej zarzuciłoby chyba można trochę za wiele dyalektycznych rozumowań na jeden i ten sam temat, który u nas nie należy już do najnowszych. Zresztą jednak postaci kre-

ślone są ręką mistrzyni; starcia psychologiczne imponują siłą i głębokością wewnętrzną, a tok intrygi w najwyższym stopniu zajmujący. Czytanie takich powieści zapewnić może prawdziwe wzbogacenie umysłu i serca; dają one szereg wzruszeń szlachetnych, utrwalających charakter w człowieku. Księgarnia Wł. Bełzy zapowiada wydawnictwo „Biblioteki filozoficznej“, w której pomieścić się mają wszystkie wybitniejsze dzieła nowoczesnej filozofii, począwszy od Bakona i Kartezjusza aż do Littrégo. Przedsięwzięcie to — na obecne czasy — prawie imponujące śmiałością. Pierwsza serya ma zawrzeć Kartezjusza: „Drogę do poznania prawdy w naukach i w życiu“, Bakona: „Nowe zasady“, Mosera „Fantazyje“ i Monteskiusza „Ducha praw“. *Audaces fortuna juvat*. Oby to zachęcające godło wszelkiego śmielszego czynu ziściło się na wydawnictwie p. Bełzy!

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 2 Czerwca 1878 r.

Wystawa w miesiąc po otwarciu. — Pogląd i przegląd ogólny. — *Parisim lolem*, jak mówią Francuzi. — Trocadero i Pole Marsove. — Jakie jest ogólne wrażenie wystawy. — Kto przoduje i dla czego? — *Aleja Narodów*. — Szczęśliwy i nauczający pomysł. — Sztuki piękne na Wystawie.

(Dokończenie).

Teraz, jeżeli przenikniemy do wnętrza każdej wystawy, jeżeli przebiegając z kolei okazy każdego narodu, rozpatrzmy je uważnie z blizka, jedna rzecz uderzy nas szczególnie: corażto większa, powszechniejsza, widoczniejsza dążność każdego i wszystkich do połączenia się, do zlania, że tak powiem, w jedną ogromną masę jednorodności. Widocznie, że na tych wyścigach przemysłu niema tej dążności, jak to bywało niegdys — aby tworzyć i wyrabiać rzeczy wyłącznie, różniące się wydatnie i silnie od innych, noszące na sobie cechę indywidualności odrębnej, jej usposobienia i smaku. Nie — wszędzie widzimy też same sukna, jedwabie, płótna, meble, porcelany, fajansy, kryształ, dywany i t. d., a całe usiłowanie wyrobnicstwa skierowane jest ku jednemu tylko celowi: ku wyrobieniu tegoż samego okazu w taki sposób, aby mógł być sprzedany za najtańszą cenę.

Widać wszakże, iż w tej jednorodności jest pewna przyjęta forma, jakby powszechna modła, że ta modła jest jednak dziełem wyjątkowym, że się jej stworzenie komuś wyłącznie należy, że w czyjejś głowie i rękach jest inicjatywa, którą reszta naśladowe według sił i sposobów własnych.

Tym narodem, tak hojnie i tak szczęśliwie obdarzonym od natury, tą nicią przewodnią powszechnego przemysłu — dotąd zdaje się być Francya. U niej-to żywość niesłychana wyobraźni, połączona z wrodzoną zdolnością urzeczywistniania materalnie wszelkich pojęć pierwszego natchnienia i z wrodzonym uczuciem smaku — utworzyły ten prad nieustającej twórczości, który w każdym kierunku przemysłu przynosi jakby nową życie i nową dźwignię, nadając wyrobom tę pewną formę, pewien smak, pewien wdzięk, które można naśladować, ale których przewyżzyć nikt dotąd nie zdołał.

Żywy przykład tej prawdy mamy przed oczyma na wystawie angielskiej. Wszystkie wyroby porównać się dające zrobiły w Anglii olbrzymi postęp od lat dziesięciu; a przecież pomimo tego usiłowania jest coś, co nie pozwala powiedzieć, że dziś stanęły wyżej od wyrobów francuzkich pod względem smaku i tego nieopisanego wdzięku, który się odbija w każdym przedmiocie i częstokroć znajduje się w jednym zgięciu lub sprostowaniu linii, służącej za główny zarys, w tym lub owym odcieniu barwy, w tym lub owym kształcie nietylko całego przedmiotu, ale często bardzo drobnej jego cząstki. Anglicy mieli i mają w tym względzie tak głębokie przeświadczenie, że się nie wahałi ani chwili największych ponieść ofiar, aby tylko sprostać Francuzom. — Założone muzeum (*Kinsington's Mu-*

seum), szkoły pomocnicze, zakłady wszelkiego rodzaju, prowadzone przez najbłębszych artystów, rozpowszechnienie z niezmiernym kosztem najlepszych wzorów rysunku, kolorytu, układu deseniów, tkaniny — jednym słowem, oddanie w ręce każdego pracownika najlepszych narzędzi i sposobów: wszystko to świadczy o usiłowaniach podjętych i dowodzi konieczności takich usiłowań, a przecież po dziesięciu latach tej walki oba narody pod względem smaku i tego wyrazić się nie dającego piętna *suu generis*, które jest znamię duchowej wyższości przemysłowców — oba te narody stoją na temże miejscu jak w 1867 roku. Anglia zyskała niezmiernie — jest to rzecz niezaprzeczoną; ale też i Francya poszła dalej jeszcze.

Abym dotykałniej pokazać te usiłowania Anglii i jej chęć prześcignięcia Francji na tem polu przemysłowej czysto walki; weźmy naprzykład to, co możemy zauważyć w części poświęconej, naprzykład, meblom. W tej grupie i w jej akcesoryach, których przegląd uważny polecam znawcom i miłośnikom najbardziej wymagającym i specjalnym fabrykantom, można zobaczyć najcudniejsze wyroby. Wszystko tam jest biegle narysowane; drzewo jest wybrane z największą znajomością rzeczy; ozdoby umieszczone i wykonane w najlepszym guście, — jednym słowem, najczystszy smak przewodniczy we wszystkim. Ale co mię uderzyło szczególnie, to usiłowanie, aby każdemu zostawić należną część chwały. Czytając w katalogu nomenklaturę przedmiotów, które ściągęły moją uwagę, z zadziwieniem spostrzegłem, że przedsiębiorcy tych wyrobów nie zaniedbali nigdy wymienić nazwiska współpracowników swoich. I tak, dom stolarski Schoolbread, James et Comp. po wycieciu swoich okazów dodaje, że te wszystkie meble wykonane zostały podług rysunków pana H. W. Balley'a i tak w każdym wydziale, w każdej prawie grupie.

Jest w tem piękny przykład dla wszystkich, dobra nauka, a zarazem dowód, jak mówiłem, usiłowania, aby się utrzymać nie tylko na równi, ale, jeśli można, i wyżej od Francji. A przecież Anglia, która w pewnym względzie, to jest we względzie wygody, komfortu, jak się to tam nazywa, nie ma kraju sobie równego w przemyśle, — codo smaku, pomimo usiłowań, musi ustąpić Francji. Jeśli tu nie mówię o innych narodach, to dlatego właśnie, że w tej, jakby jednolitej całości, wyróżniają się one tam jedynie, iż codo uczucia smaku i wygody dalsze nierównie zajmują miejsce od każdego z tych dwóch przewodniczących działaczy ludzkości.

Sprawiedliwość wymaga, abyśmy wyłączyli z tej wielkiej uniwersalnej jednostajności narody ostatecznego Wschodu — Chiny, a szczególnie Japonię. Tu forma, wyrób i materiał okazów są w takiej sprzeczności z tem wszystkim, co stanowi nasz europejski przemysł, iż wszelkie porównanie staje się niemożliwym. U Japończyków przedewszystkiem wykazuje się jeszcze uczucie tak głębokie, tak żywe, nie tylko czystego smaku, ale nadto rzeczywistego piękna, że najdrobniejszy, najmniejszy okaz ich przemysłu o wiele przechodzi to wszystko, cokolwiek my możemy obok niego postawić. Nie mam potrzeby wyliczać tych pięknych i dziwnych wyrobów. Jedno tylko co mogę im zarzucić, to zupełną prawie bezużyteczność dla nas. Są to bowiem piękne, wspaniałe, zachwycające oko przedmioty, ale należące do cywilizacji, tak odmiennej od naszej, o tak odmiennych potrzebach życia, iż my żadnego praktycznego zastosowania nie możemy im nadać.

Zostawiając do następnego listu wyjątkowe uwagi nad wyłącznymi okazami tej lub owej wystawy tego lub owego wydziału, dzisiaj jeszcze rzucimy okiem na wystawę sztuk pięknych. Jest to zapewne jedna z najponętniejszych części całej wystawy powszechnej, i dla publiczności wogóle i dla waszego korespondenta w szczególności. Znaleźć pod ręką to wszystko, cokolwiek w przeciągu ostatnich lat dziesięciu stworzyła sztuka u wszystkich narodów — jest to może jedyna okazy, jaka się może nadarzyć w życiu. Tutaj nie potrzeba koniecznie być specjalistą, aby nas zajęło to lub owo dzieło. Porównanie oparte na czystym smaku i wewnętrznym uczuciu każdego doprowadzić go może do zamierzonego celu i, nieroszcząc żadnych pretensyj do głębokiego znawstwa, każdy

może powiedzieć nakoniec, przebiegłszy ten długi rząd sal, zapełnionych dziełami najznakomitszych artystów „to wydaje mi się znakomitszem niż tamto; w tym kraju lepiej pomują sztukę niż w tamtym“. W każdym razie, gdyby ten sąd nawet i nie był prawdziwym, zostanie ztąd zawsze ta nauka, jaką się otrzymuje zwykle, patrząc na ogół działalności ludzkiej i mogąc porównać jej wyroby współcześnie powstające.

Jedna rzecz, która uderza najbardziej w tym powszechnym przeglądzie sztuki, mianowicie: stosunkowe ubóstwo i mierność wystawy włoskiej. Jestto prawdziwie zadziwiający fenomen, że kraj ten, który był kolebką nie tylko odrodzenia, ale stworzenia sztuki nowożytnej, dziś zdaje się być dotkniętym jakby jakąś niemocą twórczości. Zapewne, że znajdzie się tu dwóch lub trzech artystów, którym niebraknie wcale ani sposobów i środków technicznych. Ale czego tu brak zupełny, to tej twórczości, tej siły duchowej, która i najmniejsze dzieła podnosi do wysokości i znaczenia doskonałych utworów.

Niemcy, które na wszystko mają gotową teorię, o których nam prawiono, że przewodniczą niby nowożytnej sztuce, te Niemcy nie wykazały wcale na tegorocznej wystawie żadnej z owych zalet pierwszorzędnych, które tak wysławiano. Kilka obrazów historycznych, które tu widzimy, nie dają nam wcale tego pojęcia, aby sztuka w Niemczech podniosła się do tych wyżyn, na których widać dopiero co może prawdziwy talent. Są to dobre, porządne obrazy, są to dzieła sumienne nawet; ale bynajmniej nie znakomite obrazy historyczne w całym znaczeniu tego wyrazu. Nie również godnego uwagi w malarstwie scen życia zwyczajnego (*Genre-Bilder*) jak to nazywają Niemcy. Dwa czy trzy obrazki, których rysunek i układ mają pewien wdzięk i jakby pewną zaletę naiwności, ale tu, jak i w innych obrazach, braknie kolorytu i prawdziwej zdolności malarskiej. Koloryt w ogólności jest fałszywy, a sposób malowania, wyglądzony i wymuskany do zbytku, grzeszy niedostatkami siły i prawdy. Toż samo można powiedzieć o portretach. Widzimy tu na honorowym miejscu portret młodej i pięknej pani i dwa portrety dzieci. Miejsce już samo wskazuje, że to musi być imię używające pewnej wziętości i sławy; a przecież, żal się Boże! takich portretów mamy tu bez liku i nikt ani wspomni o nich inaczej jak pod tytułem: „Malarstwa na porcelanie“ (*Peinture de porcelaine*). Przy samem wejściu do sali jest portret jegomości z ogromnym spiczastym nosem. Czyżby to miał być emblemat wystawy i jej powodzenia? Ale, otóż w tym niemieckim elemencie zabłąkanego widzę Polaka. Wielki obraz, wielka fantazyja ukochanego naszego Brandta: hetman prowadzący swoich mołojców przy odgłosie orkiestry bandurzystów. Poczóż cię, panie bracie, wypełnięto pomiędzy Niemców?

Ponieważ jestto pierwszy pobieżny pogląd na wystawę sztuki — bliższe ocenienie dzieł wyjątkowych, i wyjątkowych nawet całych wystaw, zostawiamy na później; dziś powiemy tylko, że trzy są szkoły stojące niezaprzeczenie na czele ogólnego artystycznego, ruchu i to w następnym porządku: Francya, Austria i Anglia. Rozumie się, że stanowisko odpowiada ogólnemu wrażeniu i temu względowi, który jest wypadkiem tak samej liczby artystów jak i ważności i liczby dzieł świadczących o ważności ruchu. Francya przodkuje wszystkiemu nie dlatego, że jest w sobie, ale chociaż jest u siebie. Po niej, rzecz dziwna, idzie Austria, gdzie artystyczne uczucie zdaje się wzrastać i pomnażać coraz bardziej. W liczbie świetnych gwiazd tego horyzontu, a i na ich czele jest nasz Matejko, jaśnieją Makart i Munkaę. Anglia przychodzi trzecią z kolei. — Wytłómaczymy się później i z tego podziału i ze znaczenia artystycznego ruchu; tutaj nie możemy nie dodać, chyba tę pobieżną wzmiankę o duńskim malarzu scen domowego życia wielkiej wartości i o obrazie historycznym: „*Śmierć Karola XII-go*“ z wystawy szwedzkiej. Tu zamknijmy ten pierwszy nawias, a resztę odsyłając do przyszłego listu, powiemy, że, jednym słowem, Wystawa Paryzka jestto fakt niezmiernie wagi pod każdym względem. Z umysłu w tym liście, który może być jedynie tylko prostym odbłaskiem moich pierwszych wrażeń, z umysłu powiadam, nie chciałem dotykać żadnej

specyalnej rzeczy, niemogąc bowiem objąć w jednej korespondencji tego, co potrzebuje przynajmniej dni kilku, aby chociaż pobieżnie przejrzanem być mogło we wszystkich częściach, musiałem porzucić na tych wrażeń, jakie wyniosłem w pierwszej chwili. Mogą być one różne stosownie do osobistych usposobień każdego, ale jedno jest niezaprzeczoną rzeczą: że każdy tu znajdzie nie tylko przyjemność, zadowolenie duszy, ale i wielką naukę. Niepodobna jest, aby wobec tak świetnych okazów, na których się odbił nie tylko przemysł, ale i duch pracujący wszech narodów, na które składały się miliony najpracowitszych, najzdolniejszych, najintelligentniejszych ludzi świata całego, — niepodobna jest, aby to nie poruszyło głęboko nie tylko myśli i rozważy ludzi specjalnych, ale nawet najprostszego widza. Z tego zetknięcia się ze wszystkim, co jest tak piękne, wielkie i ważne, musi wytrysnąć choćby maleńki, ale jasny promień oświaty dla każdego i dla wszystkich. — Dlatego nie przestaję wołać i napominać, aby ci, którym możność dozwala, korzystali z otwartych szranek i spieszyli ochotczo — patrzeć, uczyć się z powrotem zanosić do domu wielki przykład: co może praca i co może w pracy duch ludzki!... Przykłady te każdy wypowie według własnego zapatrywania się, a będą one przecież tem ziarnem gorczycznym, co kiedyś otworzy się przed oczyma tych, którym mają być korzyścią i zachętą na dalszą pielgrzymkę.

O GRAMATYCE MUZYCZNEJ

Napoleona Ordy.

Redakcyja „Bluszczu“ otrzymała od pani Dyonizy Wyleżyńskiej, znanej nauczycielki i przewodniczki młodzieży, list, datowany z Pustochy, w gub. Kijowskiej, w powiecie Skwirskim, d. 23 Kwietnia r. b. Dla miłości prawdy i uzupełnienia sądów w danym przedmiocie zamieszcza tutaj ten list wraz z uwagami stałego swego sprawozdawcy muzycznego pana Jana Kleczyńskiego.

„Oddawna już — pisze nam p. Wyleżyńska — poświęciłam się wychowaniu dzieci w tym celu i nadziei, że choć małą cegiełkę przyłożę do budowy, około której tylu światłych i nawet znakomitych mężów pracuje.

„Kształcona codo muzyki, w szkole Clementego i Beethovena w Wiedniu, za powrotem do kraju uważałam, że muzyka u nas udziela się w ogólności jak kanarkom, których za pomocą pozytywki przyuczają do śpiewania. Najcenniejsze utwory geniuszów, równie jak drobne fraszki, powtarzane są jak piosnki pozytywki bez najmniejszego pojęcia kompozycyi, z większem tylko lub mniejszem uczuciem według wrodzonych zdolności.

„Wprowadziłam zatem do nauki przez siebie udzielanej, jako niezbędną, naukę harmonii i mogę powiedzieć, że wspólne z p. Filipem Runowskim, sumiennym nauczycielem, pierwsi i sami jedni może, daliśmy poznać ważność harmonii i samą jej naukę, w stronach naszych.

„Długi czas walczyć musiałam z wielkimi trudnościami, bo dzieła harmonii, np. Fetisa i Mozarta, z których się sama uczyłam, jakkolwiek doskonałe, są wszakże napisane dla głów już myślących, a młode głowy zagłębiać się nie lubią. Savarda dzieło większe i skrócenia jego już są przystępniejsze. Fittona, w odpowiedziach i zapytaniach, i kilka innych jeszcze, są bardziej zastosowane dla dzieci, mają wszakże tę niewygodę, że są po francuzku lub niemiecku pisane, a chociażby dzieci najlepiej były włożone do tych języków, nie przestają one wszakże być obcymi, uczenie się zaś rzeczy trudnej w obcej mowie utrudnia jeszcze bardziej naukę.

„Z polskich, dotąd mi znanych, autorów Kurpiński niedostateczny; dziełko jego jest raczej przypomnieniem niż nauką. Studziński bardzo dobry dla nauki wokalne. Moniuszko wyborny, ale za

wstęp do niego służy właśnie dzieło Napoleona Ordy, które poznałam niedawno, dostawszy do rąk przypadkiem krytykę p. Kleczyńskiego i krytyce tej zawdzięczam posiadanie wyborczego dziełka elementarnego, takiego właśnie, jakiego nam brakło.

„Pod skromnym a prawdziwym tytułem *Gramatyki muzyki*, dziełko to osiąga cel zamierzony. Nie jest to bowiem ostatnie słowo harmonii, ale klucz do tej nauki.

„Kto początkowo przeszedł *Gramatykę Ordy*, z korzyścią i zamiłowaniem odczyta Moniuszkę i zagłębić się potrafi w Fetisa i innych. Wiem to z doświadczenia praktycznego. Praca moja jest o połowę ułatwioną odkąd wyszła pomieniona praca.

„Zdaje mi się więc, że krytyka p. Kleczyńskiego zanadto była ostra (1).

„Dzieło każde, równie jak i człowiek każdy, nie jest nigdy wolnym od błędów i usterek; ale przy jednym, i przy drugim zarówno zwracać należy uwagę na przewagę dobrych przymiotów nad złymi, na stopień odpowiedniości dla danego celu, na przysługę oddawaną, choćby najskromniejszym kołom społecznym.

„Pod względem właśnie przysługę wyświadczonej młodzieży uczącej się *Gram. Ordy* jest dziełem ważnym, i jeśli są w niem niektóre usterki, zalety jego są bezporównania liczniejsze i ważniejsze. Tak naprzykład: W lekcji II o własnościach akordu toniki i akordu septymowego. Powtóre, w paragrafie o okresie, czyli peryodach k. 29. W lekcji IV o tonach przechodnich i tonach harmonijnych z tablicą, od 50 do 54 k. O opóźnieniu rozwiązania tonów przechodnich lek. V k. 58 z tablicami i rozbiorem. Wszystko to tak jasno, dobitnie i praktycznie wyłożone, jak początkującym uczniom wykładać należy. Lekcja VI o praktycznym harmonijnym towarzyszeniu melodyi k. 72. Cała ta lekcyja tak jasna i praktyczna, że uczeń, doszedłszy do tego punktu, przestaje grać jak papuga i staje się zdolnym rozumieć to, co gra, rozbić i potrosze własnymi siłami preludować.

„Następne lekcye jedna drugą wspierają i rozwijają pojęcia muzyczne, wyjąwszy tylko rozdział o cyfrowaniu, zanadto pobieżnie traktowany.

„Wymienię jeszcze w I-szym tomie lekcję o modulacji, tak dobrze wyłożoną, że niechętny nawet nauczyć się jej musi. A co się tyczy artykułu o kwintach i oktawach ukrytych k. 165 i o *fausse relation* k. 164—działów harmonii tak trudnych do zrozumienia w innych autorach — w *Gram. Ordy* dopiero stały się one i dla początkujących przystępnymi.

„W drugim zaś tomie wszystkie lekcye bardzo dobre aż do k. 212. Tu prawdopodobnie zaszła myłka w druku, bo w przykładzie *C minor* rozbięta się akord 7-my zmniejszonej, a napisana jako przykład, septyma zwykła, dominantno-septymowa i niepostawiony kassownik na 6, w błąd wprowadzają codo akordu.

„Następna tablica k. 215 o akordzie siódmego stopnia na tonie czułym etc. i o preludjach k. 216—łatwe, jasne, przystępne, a zatem i korzystne.

„Zacytuję jeszcze lek. XVII o akordzie septymowym na drugim stopniu. Akord ten często w kłopot wprowadza ucznia rozbiór czyniącego, a tu przez wyjaśnienia i przykłady w lekcji XVII, wszystkie trudności są zniesione.

„Akord septymy zmniejszonej z pedałową toniką na k. 236—równie dobrze wyłączony.

„Po tych przytoczonych wspomnę jeszcze o *Kontrapunkcie, Kanonach, Imitacji, Fugach*.

Tyle o nich powiedziano w *Gramatyce*, że uczeń może doskonale zrozumieć, jakim jest dany rodzaj muzyki, a dla zgłębienia go udać się winien już do specjalnych autorów, bądź wskazanych w *Gramatyce*, bądź też niewskazanych, ale znanych całemu światu muzycznemu, z których wyjątki *Gramatyka* podaje jako przykłady.

„Tak więc, znalazłszy tyle korzyści i pomocy w *Gramatyce muzycznej Ordy*, za sumienną rzecz poczytuję sobie oddać jej sprawiedliwość i zachęcić innych do poznania i ocenienia tak pożytecznego

go dziełka, a tym sposobem podziękować szanownemu autorowi wraz z młodzieżą moją za pomoc, jakiej doznajemy w mozolnych pracach naszych.

„Nie wielkie-to wprawdzie, nieświetne kółko nasze, ale i ewangelia dla maluczkich pisana, a dziełko Ordy dla prostaczków moich tak jest użytecznym, że za pomocą jego niejedno może z tych dzieci i w muzyce kiedyś na ludzi wyjdzie“.

List powyższy pani Wyleżyńskiej zakomunikowanym mi został (jako autorowi krytyki dzieła p. Napoleona Ordy) przez Redakcję *Bluszczu*, z prośbą o pozyczenie uwag, którebym uznał za stosowne. Kwestya jednak sądu o rzeczach jest tak delikatną ze swej natury, że trudno ją zupełnie przez polemikę rozjaśnić — która zresztą w danym szczególniej razie wcale w zamiarach moich nie leży. Wyraziwszy przed kilku laty zdanie swoje o świeżo wówczas wyszłym dziełku p. Ordy, nie miałem bynajmniej pretensyi do nieomyślności, i radbym był bardzo, gdyby zdania innych osób krytykę moją sprostowały, jeżeli ta w czemkolwiek przyniosła krzywdę Szanownemu Autorowi. Pani W. ma to właśnie na celu, sądząc jednak, że w rzeczywistości cel ten jeszcze osiągnięty nie jest. Autorka powiada, że *Gramatyka* p. Ordy jest dziełem pożytecznym — ja utrzymywałem to samo; autorka nie zaprzecza w niem usterek — również i ja; autorka własną praktyką stwierdza, że dziełko to dla kształcącej się młodzieży jest korzystnym — w moim artykule zaś napisałem wówczas wyraźnie: „Nie przeczymy, że... można wielkie odnieść korzyści ze studyowania *Gramatyki*; ale, aby się to mogło obejść bez pomocy specjalnego nauczyciela, wątpimy“.

Różnica więc naszych poglądów nie jest w gruncie rzeczy tak wielką, gdyż ostatecznie pani W. własnym przykładem i praktyką stwierdza to, co ja, po przejrzeniu dzieła, wyrzekłem, a mianowicie: że mimo tych i owych braków dziełko to, jako przygotowawcze do specjalnych dzieł o harmonii, może być bardzo przydatnem. Pozostaje więc tylko chyba różnica w szczegółach. Niech odcienie naszych zapatrywań się pozostaną takimi, jakimi są — a być może, że w tej sprawie podniosą się inne głosy, które ją jeszcze lepiej rozjaśnią. Czas jest najlepszym probierzem dzieł naszych: co dobre, pozostaje na zawsze, lub na długo przynajmniej; co słabsze — ginie. Dzieło p. Ordy, jako jedyne prawie w naszym języku — powinny być rozpowszechnionem. Po owocach najlepiej je poznamy — i jeśli by się wtedy okazało, że wytknięte przeze mnie niedostatki *Gramatyki* znikają wobec jej stron dodatnich, będę bardzo szczęśliwym i z pewnością nie omieszkać o tem wspomnieć.

Jan Kleczyński.

Słowo o Encyklopedyach.

Encyklopedia S. Orgelbranda mniejsza, 12-tomowa, otrzyma w końcu r. b. *Dodatek* nazwany „Supplementem“, a mający objąć nie tylko sprostowania, ale i uzupełnienia, które z biegiem czasu od r. 1872—6, daty wychodzenia *Encyklopedyi*, niezbędnymi się stały. Kilka słów z powodu zapowiedzi tego Supplementu o nim samym i o *Encyklopedyach* wogóle powiedzielibyśmy pragneli.

Złe byłoby, bezwzględnie, gdyby kto z *encyklopedyi* cały rozum swój chciał zerpać; ale niepodobną też lekceważyć sobie podręczników *encyklopedycznych*: najpoważniejszy człowiek bez *encyklopedyi* się nie obędzie, bo i najpoważniejszy człowiek nie może ani wszystkiego wiedzieć, ani wszystkiego zawsze pamiętać. Niechęć ku *Encyklopedyom* wogóle wynika częściej z pozowania na wielki statek i wielką wiedzę naukową, niż z rzeczywistego szczerzego przekonania. Dobra *encyklopedia* dobre tylko przynieść może owoce; ponieważ zaś wszyscy nie mogą być specjalistami, lepiej więc, że będą mieli dobre wykształcenie *encyklopedyczne*, niż żadne, a do takiego wykształcenia

i przy niem pomocne są właśnie słowniki *encyklopedyczne*. Niemcy, Francya i Anglia posiadają mnóstwo *encyklopedyj*, nie tylko powszechnych, ale i specjalnych, w rozmaitych gałęziach wiedzy, i nawet w pojedynczych działach nauk, a jednakże nikt tam na tej obfitości nie cierpi i nikt szkodliwych jej wpływów nie dostrzega. U nas po *Wielkiej Encyklopedyi S. Orgelbranda* w ostatnich czasach podjęto wydanie siedmiu jeszcze innych: trzech powszechnych: *Przeglądu Tygodniowego*, *S. Orgelbranda* i *Ungra* i czterech szczegółowych: *Rollniczej*, *Kościelnej*, *Pedagogicznej* i *Encyklopedyi do krajoznawstwa Galicji*, Schneidera. *Rollnicza* i *Kościelna* wykonane bardzo starannie, na długo wartości swą zatrzymają. Za ledwie rozpoczęta *Enc. Sznajdera* daje bogaty materiał, *Enc. pedagogiczna* wreszcie jest dopiero w stanie załączkowym: toczą się i toczyć się powinny rozprawy nad tem, jaką być ma, aby była dobrą. Z trzech pierwszych najlepszą jest, mimo usterek swoich, *Encyklopedia S. Orgelbranda*, właściwie przez synów jego wydana. Wydawnictwo *Przeglądu Tygodniowego*, zbliżone do 2-tomowego, wyciągu z *Encyklopedyi* niemieckiej Meyera, najmniejszej niema wartości, żadnego bowiem, wobec licznych wykazanych w niem błędów zaufania wzbudzić nie może. Toż i wychodzący przy „Prz. Tygodn.“ *Panteon wiedzy ludzkiej* (!), który miał wynagrodzić czytelników tego pisma za ową *encyklopedyę*, i wistocie lepszy od niej, a naśladowany z *Un million de faits*, więcej mieści w nazwie swej aniżeli w rzeczy.

Zgodziwszy się raz na nieszkodliwość, a nawet potrzebę *encyklopedyj*, wypada już pragnąć, aby one jaknajlepszymi, jaknajpełniejszymi, jaknajumiejtniejszymi były. Pierwszym warunkiem ich dobroci, jest to, aby w nich kosztem rzeczy ważniejszych nie zamieszczano rzeczy mniej ważnych; drugim to, aby wszystkie wyrazy przedmiot wskazujące miały rzeczywiście objaśnienia tego przedmiotu nie zaś, jak to się w *encyklopedyach* naszych zdarza, odsyłały od Annasza do Kajfasza i pozostawiały czytelnika w niewiadomości. Za trzeci warunek uważamy ustosunkowanie obszerności artykułów do ważności przedmiotów i jednostajność w tej mierze przez cały ciąg słownika. Czwartym warunkiem jest prawdomówność, jasność i zwięzłość artykułów. Piszący powinien znać dobrze przedmiot, a znając umiejętnie go przedstawić: nie wolno kształcić się dopiero na pisaniu artykułów. Ludzie, co pomimo największej nauki pisać nie umieją, nie powinny też nigdy z wyżu swoich schodzić na niziny *encyklopedyczne*. W *encyklopedyach* naszych obok artykułów dobrych są także i takie, które przypominają niewypełnione, albo też zbyt wypechane worki: tych ostatnich wprost zrozumieć niepodobna, taka w nich gmatwanina, tyle wiedzy, tyle mądrości, że aż sprawda się przysłowie: „gdzie wiele przygotowań tam nie z dialogu“. Wystrzegać się też należy polemik i zbyt oryginalnych krytyk w rodzaju tych, jakie się znajdują u Nehringa o M. Romanowskim lub u Łukaszewicza — a także i gdzieindziej — o Alex. Fredrze. *Encyklopedia* powinna podawać przeciętne wyniki sądów, a najlepiej uczyni, jeśli odrzucając rolę sędziego, przyjmie właściwszą sobie rolę opowiadacza i opisywacza, bo nie jest zadaniem jej *roztrząsać i wyrokować*, ale przedstawiać, opowiadać i opisywać: zwłaszcza *encyklopedyom* powszechnym zbytni krytycyzm szkodzi, choćby dlatego tylko, że, niemogąc być sprawą jednego człowieka, jedności w ferowanych sądach w żaden żywy sposób zaprowadzić i utrzymać nie zdoła. Jako piąty warunek przedstawia nam się zgodność pomiędzy wskazówkami w różnych artykułach udzielanymi. Ież to razy pod A np. znaleźć można co innego niż pod R lub Z; ileż niezgodności w faktach i datach, ile przeczenia samemu sobie! Wszystko to przy dobrem prawdziwie opracowaniu *encyklopedyi* uniknionem będzie. Szóstym warunkiem jest jaknajobszerniejsza i jaknajlepiej dobrana bibliografia przy każdym artykule. Do marzeń prawdziwie należy pozyskanie kiedyś *encyklopedyi* bibliograficznej, t. j. wskazującej jedynie dane czasu i nazwisk, a po treści przedmiotową odsyłające do dzieł literatury powszechnej, najlepszych i najbardziej źródłowych, danemu przedmiotowi w części lub w całości poświęconych. Przyszłość niezawodnie takie *encyklopedye* mieć będzie. Tym-

(1) Ob. N. 10 *Bluszczu* z r. 1874

gnańca, który gotów powrócić tu jako zwycięzca za 6 miesięcy i zostać znowu rządem!

Co począć? A potem jest się szpiegowanym. Pomiedzy takimi, rzecz zwykła. Najmniejsze słowo będą komentować, najmniejszy ruch opisywać. Jak tu obejść się delikatnie z tą rośliną, która się zwie: dzisiaj, i z tą owieczką która się zwie: jutro? Znadto badać, obrazi generała, znadto kłaniać mu się, obrazi prezydenta. Jak tu być naraz bardzo podprefektem i trochę lokajem? Jak połączyć ze sobą sztukę służalstwa któraby się spodobała Changarnierowi z powagą władzy, któraby się spodobała Bonapartemu?

Zdawało się podprefektowi, że wybrnie z kłopotu, gdy powie:

Generale, jesteś pan moim więźniem. — I dodał z uśmiechem:

Uczyń mi pan zaszczyt i śniadaj ze mną.

Te same słowa powiedział i Charrasowi.

Generał odmówił lakonicznie.

Charras spojrział na niego bystro, i nie nie odrzekł.

Nasunęły się wątpliwości prefektowi co do tożsamości osób.

Zapytał zeicha kommissarza: — Jesteś pan tylko pewnym? — Ale najpewniejszym — odszepnął kommissarz.

Podprefekt zdecydował się zwrócić do Charrasa i niezadowolony z jego obejścia, zapytał dosyć oshle: Lecz nareszcie, któż pan jesteś?

Charras odpowiedział:

— Jesteśmy skrzynkami towarowemi.

I zwracając się do swych stróżów, obecnie także pod strażą, rzekł:

— Zwróćcie się do naszych expedytorów. Zapytajcie naszych celników — sprawa transitowa.

Zatelegrafowano. Przestraszone Valenciennes, zapytywało Paryża.

Podprefekt zawiadomił ministra, że dzięki jego czujności, co do której sobie samemu tylko ufa — udał mu się ładny połów, gdyż odkrył spisek, uratował prezydenta, ocalił społeczeństwo, ochronił religię etc. etc., że jednym słowem schwycił generała Changarnier i pułkownika Charras, którzy tego poranka umknęli z Ham za fałszywymi paszportami, zapewne w tym celu, ażeby stanąć na czele rewolucji etc. etc. i że nareszcie zapytuje się rządu, co ma zrobić z obydwoma więźniami?

W godzinę potem nadeszła odpowiedź: „Niech dalej jadą“.

Policya spostrzegła, że w wybuchu gorliwości doprowadziła swą głębokość aż do głupoty. To zdarza się czasami.

Następny pociąg zabrał więźniów powierzając ich nie wolności ale stróżom dodanym.

Przejechano Quievrain.

Wyszli z wagonu, potem weszli napowrót.

Kiedy pociąg miał odejść; Charras westchnął radośnie jak człowiek oswobodzony od jakiej przykrości i rzekł: Nareszcie!

Podniósł oczy i ujrzał swych agentów obok siebie. Wsiadł za nim do wagonu.

— Ah, to wy!

Z tych dwóch ludzi, jeden tylko mówił.

— My, panie pułkowniku.

— A cóż wy tu robicie?

— Strzeżemy pana.

— Lecz jesteście przecież w Belgii.

— Być może.

— Belgia nie jest Francją.

— I to być może.

— Lecz gdybym głowę wychylił z wagonu i zawołał, gdybym was kazał uwieźć i zażądał wyswobodzenia?

— Nieuczyniłbyś pan tego — pułkowniku.

Cóżbyście uczynili, ażeby mi przeszkodzić?

Agent pokazał kolbę pistoletu mówiąc: To.

Charras wybuchnął śmiechem i rzekł: A gdzież się odepiecie odemnie?

— W Bruxelli.

— Co znaczy, że w Bruxelli zdejmiecie przedemną kapelusz, ale w Mons strzelić jesteście gotowi do mnie?

— Nieinaczej pułkowniku.

— Wreszcie — rzekł Charras — to mnie nie obchodzi. Sprawa to króla Leopolda. Bonaparte tak postępuje z ziemiami obcemi jak z ludźmi. Pogwałcił Zgromadzenie, pogwałca Belgię, lecz bądź co bądź, wyście wszyscy zbiorem szczególnych łotrów. Ten co u góry — szalenciec, — ci co u dołu — ograniczeni. Dobrze, moi przyjaciele, zasną sobie.

Usnął w samej chwili.

Ta sama awantura przydarzyła się prawie w tejże samej chwili generałom: Changarnier, Lamoricière i panu Baze.

Agenci nie porzucili gen. Changarnier, aż w Mons. Tam wysiedli z wagonu i rzekli mu:

— Generale, tu miejsce pańskiego pobytu. Zostawiamy pana na wolności.

— Tak? — a to dobrze! Dobry wieczór panom.

I wsiadł szybko napowrót do wagonu w chwili, gdy się pociąg oddalał.

Policya puściła Charrasa w Bruxelli, lecz nie puściła generała Lamoricière'a. Dwaj agenci chcieli go zmusić ażeby jechał natychmiast dalej do Kolonii. Generał, który cierpiał na reumatyzm, jakiego się nabawił w Ham, oświadczył im, że przenocuje w Bruxelli.

— Niech i tak będzie! — odrzekli agenci.

Poszli za nim do hotelu Bellevue. Przepędzili tam z nim noc. Miano dużo roboty, ażeby im przeszkodzić we wspólnym noelegu z generałem.

Nazajutrz porwali go i odwieźli do Kolonii, gwałcąc terytoryum Pruss, tak jak zgwałcili poprzednio terytoryum Belgii.

Zamach stanu, bezczelniejszym był jeszcze względem pana Baze.

Kazano podróżować panu Baze wraz z żoną i dziećmi, pod nazwiskiem Lassale. Uchodził za fagasa, agenta towarzyszącego mu.

W ten sposób przywieziono go do Akwisgranu.

Tam — wśród nocy — na ulicy, zostawili agenci bez paszportu, bez papierów, bez pieniędzy, jego i jego rodzinę. Pan Baze, oburzony, zmusił ich dopiero groźbą, że poszli z nim do jakiegoś urzędnika i podali jego nazwisko. Zapewne należało to do drobnych przyjemności Bonapartego, iżby traktowano kwestora Zgromadzenia Narodowego, jak jakiego włóczęgę.

W nocy 7 Stycznia, generał Bèdeau, chociaż dopiero miał wyjechać nazajutrz — obudzony został tak jak inni łoskotem ryglów. Sądził, że wypuszczają pana Baze, jego sąsiada z celi. Zawołał więc przez drzwi: Brawo, panie Baze!

Rzeczywiście codzień mówili generałowie kwestorowi: „Pan tu nie wiedzieć poco. To forteca wojskowa, oni pana ztąd lada dzień wysadzą na ląd.“

Lecz generał Bèdeau, słyszał tym razem niezwykłą wrzawę.

Powstał i zapukał do generała Le Flò, drugiego swego sąsiada z celi, z którym zamieniał częste dyalogi wojskowe, a niebardzo pochlebne dla zamachu stanu. Generał Le Flò odpowiedział na pukanie, ale niewiele więcej wiedział od generała Bèdeau.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 24-ty powieści pod tytułem: Zamek Daly.

OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową Redakcją i na tych samych warunkach.

W następnym półroczu w „Bluszczu“ pomieszczone będą:

Mieleszkowie, powieść przez Zbigniewa, (autora *Oksany*).

Kłamcy, rozgłośna powieść Ringa, w przekładzie polskim.

Vanina Orsano, dramat oryginalnie skreślony.

Prenumerata w Warszawie wynosi: miesięcznie kop. 60; kwartalnie Rs. 1 kop. 80; półrocznie Rs. 3 kop. 60; rocznie Rs. 7 kop. 20.

Na prowincyi: w Królestwie i Cesarstwie, w urzędach i expedyeyach pocztowych: kwartalnie Rs. 2 kop. 50; półrocznie Rs. 5; rocznie Rs. 10.

Szanowne prenumeratorki „Bluszczu“ prócz zwykłego *Dodatku*, obejmującego Wzory ubiorów i robót — na żądanie otrzymać mogą *Mody kolorowane*.

Prenumerata wydania ze zwykłemi *Dodatkami* i *Modami kolorowanemi* wynosi w Warszawie miesięcznie Rs. 1; kwartalnie Rs. 3; półrocznie Rs. 6; rocznie Rs. 12.

Na prowincyi: kwartalnie Rs. 4; półrocznie Rs. 8; rocznie Rs. 16.

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla Prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do Redakcyi nadsyłać prenumeratę wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z prowincyi i z Cesarstwa upraszam również, by żądania swoje raczyli adresować „do Redakcyi Bluszczu w Warszawie,

Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).“

Weznesne wyprawianie pierwszych, regularne dosyłanie dalszych numerów „Bluszczu“, zależy głównie od zastosowania się, pod względem przesłania prenumeraty, do powyższego ogłoszenia.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca.

TREŚĆ. Z nowej wiosny, (poetya), przez Heinego. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — O gramatyce muzycznej Napoleona Ordy. — Słódko o Encyklopedyach. — Historia zbrodni, W. Hugo (dalszy ciąg), przełożył Edward Lubowski.